



Max Brand

Pieśń bicza, czyli trzeci raz nadjeżdża Montana!

Trzecia część cyklu „Montana”



53

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-67876-44-5 (część 3)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

**PIEŚŃ BICZA CZYLI
TRZECI RAZ NADJEŹDŹA
MONTANA!**



[Kup książkę](#)

Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante we Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłownik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętą akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisanu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarni po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



PIEŚŃ BICZA CZYLI
TRZECI RAZ NADJEŹDŹA
MONTANA!

Przełożył i przypisami opatrzył Dominik Wróblewski

**Sto czterdziesta dziewiąta publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty trzeci tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
The Song of the Whip

© Copyright for the Polish translation by Dominik Wróblewski, 2024

8 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek
© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorczak
Redakcja: Monika Fabiszak
Korekta: Andrzej Zydorczak
Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I
© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137
ISBN 978-83-67876-44-5

Rozdział I

 śród chłopów „Pieśń bicia” była znana od dawien dawna i zawsze kultywowana. Nucono ją skrycie, nigdy nie śpiewano jej publicznie w obawie przed ich panami i władcami, zarządcami stanu, bogatymi właścicielami ziemskimi – *hacendados*¹, nadzorcami czy *Rurales*². Przyczyna ostrożności kryła się w słowach, a nie w melodii i bogatym rytmie. Tekst oryginału trudno przetłumaczyć, ale pozbywając się gargantuicznych słów, wersy brzmią mniej więcej tak:

*Sprawiam ból niewolnikom
Ich skóra jest twarda,
Bowiem wiele uderzeń ją pogrubia.
Muszę ciąć głęboko, bardzo głęboko.
Aby otworzyć serca peonów
I wypuścić z nich jęk!
Potrafię sprawić, by popłynęła melodia
Z najbardziej czułych ust,
Mogę pieśń wycia i wrzasku
Wydobyć z delikatnych ust.*

A ostatnie cztery wersy, choć tu i tam pozbawione wolności, układały się w piękny rym:

¹ *Hacendado* (hiszp.) – właściciel hacjendy.

² *Rurales*, *Gwardia Rural* – termin meksykański, używany do opisania sił rządowych; członków potocznie określano mianem „Rurales”; był to rodzaj konnej żandarmerii, mającej ścigać bandytów na meksykańskiej ziemi; członków określało się także mianem policjantów; tu: terminy zamiennie z terminami policja i policjant.

*Oby wytrzymał ból każdy peon¹
Juan, José, Pedro i Leon.
Oby zniszczyła panów zaraza:
Takich jak Diaz, Angeles lub Lerraza.*

Tę pieśń śpiewał *charro*² na brzegu rzeki Rio Grande³. Śpiewał głośno, bo wypił chyba zbyt dużo meskalu⁴. Typowe zachowanie dla nietutejszego meksykańskiego kowboja. Ubrany był w strój z żółtej skóry, ozdobiony srebrnymi błyskotkami. Cała okolica, nawet jej najdrobniejszy skrawek był własnością rodzi-
ny Lerraza.

Chłopi przerwali pracę i zaczęli nasłuchiwać. Czynili to ukradkiem, bacząc przy tym uważnie, czy w pobliżu nie kręci się zarządca. Słuchając pieśni, szczerzyli zęby w uśmiechu, wolno kiwali głowami, gapili się na siebie, łykając głębokie, lecz spokojne zniewagi czynione w stronę ich pana. Zastanawiali się: kto był na tyle odważny? A *charro* jeździł tam i z powrotem, śpiewając głośno i co chwila pociągając głęboki łyk z butelki, którym wybijał rytm.

Słysząc było zwrotkę za zwrotką. Pieśni meksykańskie są zazwyczaj długie, ale ta przypominała wielki poemat, który choć w większej części plugawy sprawiał słuchaczom ogromną przyjemność.

¹ *Peon* – robotnik rolny w gospodarstwach ziemskich w hiszpańskich koloniach w Ameryce; tu: termin zamienny z terminami: chłop, wieśniak.

² *Charro* (hiszp.) – wieśniak.

³ *Rio Grande* – rzeka w Ameryce Północnej; źródła rzeki znajdują się w Górach Skalistych w amerykańskim stanie Kolorado; w górnym biegu rzeka płynie na południe, przez stan Nowy Meksyk, następnie na południowy wschód w stanie Teksas; rzeka wpływa do Zatoki Meksykańskiej, kończąc swój bieg; przez dwa tysiące kilometrów rzeka wyznacza granicę między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem.

⁴ *Meskal* – meksykański wysokoprocentowy napój alkoholowy o lekko słomkowym kolorze.

Po drugiej stronie wąskiej, starej Rio Grande, w tawernie na patio¹ siedział Montana. Popijając chłodne piwo i paląc papierosa, patrzył na rozciągające się na południu miasteczko. Z drobnym uśmiechem na ustach słuchał dochodzącego doń śpiewu.

Wysoki mężczyzna w rozpiętej koszuli, wyprostowany, typowy jeździec z Zachodu, podszedł do stolika Montany. Kapelusz zepchnął na tył głowy, ukazując czerwony odcisk od grubej ozdobnej wstążki. Z jego czerwonego czoła zaczął spływać pot.

– Ty jesteś Montana?

– Niektórzy tak mnie nazywają – odparł Kid, spoglądając w dal z bladym uśmiechem.

– Moje nazwisko Riley. Przybyłem kawał drogi.

– Siadaj – rzekł Kid, podstawiając mu krzesło.

Riley usiadł.

– Napijesz się? – spytał Montana.

– Może jak skończę gadać.

– Mów.

– Przysyłają mi kilku chłopców – zaczął Riley, poprawiając swój pas w ten sposób, by mieć pod ręką colta². – Chcą się dowiedzieć, jak długo zamierzasz zostać w mieście.

– Aż odpocznę – odparł Montana.

– Niektórzy z nich zauważyli, że nie wyglądasz na zbyt zmęczzonego.

– Czyżby?

– Mógłbyś jednym susem dotrzeć aż na księżyc.

– Pozory często mylą – odparł Montana. – Jest wielu ze smukłą twarzą i uśmiechem, którego serce skłania się z troską. Zapalisz?

¹ *Patio* – z hiszpańskiego: wewnętrzny dziedziniec w pałacach, willach, domach.

² *Colt* (*rewolwery colt*) – marka i popularna nazwa ręcznej broni bębnekowej (rewolweru) oraz wielu typów broni palnej.

Riley przyjął bibułkę i tytoń Bull Durham¹. Skręcając papierosa, zapytał:

– Jak oni to w ogóle robią? Obtłuczone chwasty nasączone starym sokiem z tytoniu. Dlaczego my to palimy?

– To po prostu przyzwyczajenie – odparł Montana.

– Ale jedyna rzecz, którą lubię. Dziwne, jakie ludzie mają przyzwyczajenia. Jedni żyją na świeżym powietrzu i podziwiają piękne widoki, a inni tęsknią za grubymi naleśnikami i pustynnym kurzem. A inni znowu lubią życie pełne przygód.

Riley spojrzał głęboko w niebieskie oczy Montany.

– Z pewnością. Są też tacy, którzy piją *pulque*², a inni nawet nie poją nim świń – rzekł spokojnie młodzieniec.

– Ale teraz tu, na tym patio – ciągnął Riley – siedzi pięciu lub sześciu facetów, którzy teraz myślą tylko o jednym... Rozejrzyj się dobrze. Widzisz tego kościstego Meksykańca³ i dwóch kowbojów popijających w tamtym kącie? A tę drugą parkę przy wyjściu z patio, co udają, że nas nie widzą? Jak myślisz, co im siedzi w głowie?

– *Mañana*⁴ – wycedził Montana.

– Ano właśnie. Montana Kid siedzi im w głowach... Ile masz lat, chłopie?

– Kto by tam liczył lata. Ważniejsze są przeżycia i troski, których zaznałem – odparł młodzian z uśmiechem.

– Tak, wiem o tym. Masz jeszcze bujną czuprynę, a ci tutaj mają na nią chrapkę.

– Coś podobnego – powiedział Montana, przeczesując długimi palcami swoje włosy.

¹ *Bull Durham* – marka tytoniu dostępna w Ameryce Południowej i Północnej.

² *Pulque* – narodowy napój meksykański; napój ze sfermentowanego soku agawy.

³ *Meksykaniec* z angielskiego: *greaser* – pogardliwa nazwa dla Meksykanina.

⁴ *Mañana* (hisp.) – przekleństwo; dosłownie: jutro.

– Za Montanę Kida miasto Chihuahua¹ daje pięć tysięcy dolarów. El Keed wart jest w Sonorze² dziesięć tysięcy pesos³. Mexico City⁴ zapłaci o dziesięć tysięcy więcej.

– Nie przypuszczam, że polują na mój skalp – rzekł Montana z uznaniem w głosie – ale chętnie się dowiem.

Wstał i zawołał:

– *Amigos*⁵! Słuchajcie!

Meksykanie, słysząc jego głos, zerwali się gwałtownie.

– Przyjaciele – mówił Montana, patrząc im prosto w oczy – podobno podziwiacie moje włosy? Ty, ze złamanym nosem, odsuń dłoń od rewolweru... Ty, z czerwonym szalem, myślisz, że nie widzę twych rąk pod stołem? Teraz dobrze. Jak na was patrzę, widzę, jaką jesteście zgrają brudnych Meksykańców... Wynocha stąd. Potrzebuję więcej miejsca. Precz! Już!

Mężczyzna ze złamanym nosem głębiej wcisnął się w krzesło. Jego prawa ręka zniknęła mu za plecami. Riley płynnym ruchem sięgnął po broń, lecz Montana był szybszy, uśmiechając się przy tym do przeciwników.

Mężczyzna ze złamanym nosem wstał powoli. Długimi krokami zaczął wolno oddalać się w kierunku wyjścia. Za jego plecami widać było niebieskawe góry oblane złotem zachodzącego słońca. Zniknął jednym szybkim susem. Pozostali Meksykanie, milcząc, podążali za nim.

Riley wstał.

¹ *Chihuahua* – tu: miasto w północnym Meksyku, stolica i drugie pod względem zaludnienia miasto w stanie Chihuahua w Meksyku; położone u podnóża gór Sierra Madre Zachodnia.

² *Sonora* – tu: stan w północno-zachodnim Meksyku.

³ *Peso* – tu: peso meksykańskie, nazwa jednostki monetarnej w Meksyku, dzieli się na sto centavo.

⁴ *Mexico City* – tu: stolica i dystrykt federalny Meksyku; miasto położone na wyżynie leżącej w środkowej części kraju.

⁵ *Amigos* (hiszp.) – przyjaciele.

– Boże Wszechmogący! – wyszeptał.

Nadbiegł kelner w białym fartuchu płaczącym mu się wokół kolan.

– Dokąd oni poszli?! – wołał. – Nie zapłacili rachunku!

– Wezmę to na siebie, bracie – rzekł Montana.

Riley usiadł i zaczął skręcać nowego papierosa.

– Wszyscy Meksykańcy są przeciwko tobie – oznajmił.

– Na południu, za rzeką, mam wielu... przyjaciół – zwierzył się Montana.

– Możesz ich sobie mieć. Tylko co zrobisz, kiedy banda takich jak ci lub większa, chyłkiem przekroczy Rio Grande w ciemną noc i zapoluje na twój skalp? A kiedy już to się stanie i zaczną latać kule, jak myślisz, ilu przypadkowych przechodniów pójdzie w ich ślady i wypcha sobie kasą kieszenie po całej tej zabawie? Nad tym właśnie rozmyślają ludzie w mieście i to właśnie ci, od których jestem chcieli, żebym ci to wyłożył.

– Co, jeśli nie zależy mi na zmianie miejsca?

– Niektórzy z chłopców chcą zrobić ci przyjęcie i zaprosić cię na nie.

– Już mówiłem, na razie siedzę tutaj, dopóki nie odpocznę.

– Do kiedy? – dopytywał się Riley.

– Trudno powiedzieć... Słuchanie, jak *charro* śpiewa na drugim brzegu, orzeźwia mnie. Lecz trudno powiedzieć, kiedy ruszę dalej.

– Montana, dlaczego nie jesteś rozsądny? Po co jeździć wkoło i śpiewać każdego dnia o niepodległości swego życia? Chłopcy nie chcą mieć z tobą problemów. Bardziej woleliby, aby wyniósł się stąd rośły żbik. Oni martwią się o ciebie.

– Potrzebuję trochę czasu – odparł Montana – i zejść wam z oczu, ale na razie noszę ogromny ciężar na swych słabych barkach. A smaganie biczem znarowionego konia może tylko

wzbudzić niechęć. Poza tym jestem amerykańskim obywatelem i mam prawo do wypoczynku w cieniu starej flagi.

Riley nie potrafił powstrzymać się od uśmiechu.

– Odważny z ciebie *hombre*¹, Montana – powiedział. – Przypuszczam, że dobrze się ostatnio bawiłeś na dalekim południu.

– Skąd takie przypuszczenie, że na dalekim południu?

– Takie złote ostrogi można kupić tylko w Mexico City, a srebrne kółko na twoim *sombrero*² też pochodzi ze sklepu z dalekiego południa. Niebieską jedwabną koszulę mógłby nosić jakiś *hidalgo*³, natomiast szarfę, którą masz wokół bioder, pracowite ręczki musiały haftować przez dobre pięć lat... Niektórzy ludzie, patrząc na ciebie myślą, że mają przed sobą pirata, który w uścisku trzyma swój łup, a nie chowa go na pokładzie na widoku innych.

– Nigdy nie wiem, co robić z drogimi ubraniami, jak tylko je nosić – mruknął Montana.

Na drugim brzegu Rio Grande wybuchnął wrzask. Wyelegantowany *charro*, dosiadający konia z rozwianą grzywą, nagle zniknął. Od strony miasteczka nadjechało sześciu jeźdźców. Dwóch ruszyło w pościg za kowbojem. Pozostali wydobyli lassa i bicze, kierując się w stronę grupy zasłuchanych wieśniaków. Lassa szybko się rozwinęły, a bicze zawirowały jak żywe węże. Lecz chłopci natychmiast rozproszyli się niczym wyschnięte liście na wietrze. Jeden z nich potknął się, upadł i pomimo że szybko wstał, pętla lassa zdołała go opasać.

Prześladowca w pędzie przywiązał koniec sznura do łęku siodła. Jego koń bez drobnej przerwy biegł, wlokąc po ziemi ofiarę i wznosząc chmurę pyłu.

¹ *Hombre* (hiszp.) – człowiek.

² *Sombrero* – wysoki kapelusz słomiany lub filcowy z miękkim, szerokim rondem, popularny w Hiszpanii w XV i XVI wieku, stamtąd trafił do hiszpańskich kolonii w Ameryce Środkowej i Południowej; Stanowi narodowe nakrycie głowy Meksykanów i Chilijczyków.

³ *Hidalgo* – przedstawiciel niższej szlachty w Hiszpanii.

Gdy stanął, wieśniak leżał bezwładnie na samym końcu ładu.

– Rozbiłeś mu łeb na kamieniach – zawołał jeden z jeźdźców.

– I co z tego? – odparł człowiek z ładu.

Puścił konia klusem. Wieśniak objął się o nierówności gruntu, a jego ręce i nogi podskakiwały bezwiednie.

Montana wstał, przeciągnął się jak przebudzony kot i znowu usiadł. Jego ciemnoniebieskie oczy zapłonęły cienkim błyskiem ostrego światła.

– Mili ci Meksykańce – powiedział Riley – A chłopci zniosą wszystko, przyzwyczaili się. Mają grubą skórę, a ich kości są z twardej gumy. Można je zgąć, ale nie sposób ich złamać.

Montana nie odpowiedział. Zaczął nucić pieśń, wymawiając wyraźnie słowa:

*Sprawiam ból niewolnikom
Ich skóra jest twarda,
Bowiemy wiele uderzeń ją pogrubia...*

Wysoki blondyn, Kastylijczyk, który dowodził jeźdźcami, wydał komendę. Jego głos słychać było wyraźnie.

– Ocucić go i przywiązać do drzewa.

Rozkaz wykonano w mgnieniu oka. Wieśniak miękko zwiślał przy drzewie. Jeźdźcy okrążali go truchtem lub galopem, a każdy z nich, mijając jego ciało, smagał biczem jego plecy. Świstały, rozdzierając tanią, bawełnianą koszulę nieszczęśnika. Niektórzy jeźdźcy podnosili się w strzemionach, by bić z większą siłą.

– Kim jest ten facet z blond wąsikami? – zapytał Montana. – Znasz go?

– To majordomus¹ od Lerrazów – wyjaśnił Riley. – Nazywa się Emiliano Lopez. Mówią, że zamierza poślubić Dorotę Lerrazę i zagarnąć sporą część milionów.

¹ Majordomus – zarządca i szef służby w rezydencjach, tu: zarządca i szef służby i ochrony w hacjendzie.

– Milionów? Tyle spodziewa się dostać? – zdziwił się Montana.

Katusze spowodowały, że wisielec się ocknął. Zaczął krzyczeć. Podskakiwał, skręcał się z bólu, ale gdy zrozumiał, co robi i gdzie jest, przestał wrzeszczeć i znieruchomiał.

Wciąż było słychać cienki, gwałtowny świst bicz z drugiego końca brzegu.

Don¹ Emiliano odwołał swych ludzi na bok, coś do nich mówiąc. Zeskoczył z konia i stanął przed więźniem. Zdjął swój błyszczący od haftu meksykański kubrak i podał go jednemu ze swoich podwładnych. Podwinawszy rękaw na prawej ręce, wybrał bicz i odmierzył odległość. Zaczął smagać z dużą wprawą. Koszulę na grzbiecie nieszczęśnika pokryła purpura.

– Można dostać mdłości – stwierdził Riley.

– Nawet wściekły pies na to nie zasługuje – dodał Kid.

Chłop podniósł głowę. Nagle zaczął śpiewać „Pieśń bicia”:

*Sprawiam ból niewolnikom
Ich skóra jest twarda,
Bowień wiele uderzeń ją pogrubia...*

Don Emiliano ryknął z furją. Bił jeszcze szybciej.

Montana znów wstał.

– Ech! – Tyle tylko powiedział, lecz stał się czujny.

Riley gapił się na niego. Po chwili rzekł:

– On to po prostu lubi!

Lecz Montana powiedział tylko:

– W wiosce przebywa najmniej stu chłopów.

Pierwszy raz naprężył mięśnie, niczym kot do ataku, a potem usiadł. Zbliżał się wieczór, a głos katowanego wieśniaka nadal dobiegał zza rzeki:

¹ Don – tu: tytułatura; tytuł grzecznościowy używany tylko w połączeniu z imieniem.

*Oby wytrzymał ból każdy peon
Juan, José, Pedro i Leon,
Oby zniszczyła panów zaraza:
Takich jak Diaz, Angeles lub Lerraza.*

W końcu, po odśpiewaniu refrenu, umilkł. Przywiązany do drzewa za nadgarstki, zwisał bezwładnie jak szmata. Jego ciało zmieniło się w dyndającą szmatę mięsa.



Rozdział II

wiatło gwiazd odbijało się w leniwie płynącej starej Rio Grande. Czyhająca na zdobycz sowa obniżyła lot przy krańcach rzeki, w poszukiwaniu małych zwierzątek przybyłych do wodopoju pod osłoną nocy. Ptasie oczy wypatrzyły tylko Montanę, który wraz ze swym mustangiem¹ brnął przez płycizny na drugi brzeg. Gdy osiągnął cel, zostawił mustanga na trawie, sam natomiast podszedł do drzewa. Chłop nie został uwolniony. Był przytomny, ale otumaniony i z trudem stał na drżących nogach, opadając na pień drzewa. Jeszcze trochę i będzie kompletnie wyczerpany, a jego nogi same pozwolą na bezwładne zwisanie ciała w niemiłosiernej agonii.

Montana stanął przy nim i zaczął słuchać modlitwy:

– Matko Niebieska, przebacz mi. Przebacz biednemu Julio Mercado i miej miłosierdzie dla jego matki. Stop kamienne serce *don Emiliana* i spraw, by okazał mi trochę litości. Matko Niebieska, wybacz mnie biednemu. Wybacz, że śpiewałem tę pieśń.

Montana odezwał się:

– Hej *muchacho*², pieśń była ładna. Dlaczego przepraszasz, że śpiewałeś?

Julio Mercado spróbował się wyprostować.

– Jesteś człowiekiem *don Emiliana*? – zapytał.

– Nie, *amigo*.

¹ *Mustang* – rasa dziczyliwych koni, wywodzących się od koni przywiezionych z Hiszpanii do Ameryki Północnej w XVI wieku przez hiszpańskich konkwistadorów; część przywiezionych koni w różnych okolicznościach dostała się na wolność i wtórnie dziczyła, tworząc nową rasę.

² *Muchacho* (hiszp.) – chłopczyzna.

– Wobec tego przyjemnie mi, słysząc twoje słowa. Mnie się wydawało, że nie śpiewałem, a wyłem jak pies. Chciałem oczyścić gardło. Mężczyzna nie powinien wyć jak pies.

– Wołałeś o pomstę do nieba, ale również śpiewałeś. Jesteś mężczyzną, Julio Mercado.

Montana wyjął nóż myśliwski i przeciął więzy krępujące ręce Julia, który osunął się na kolana.

– Co zrobiłeś, *señor*¹?! – zawołał. – Przywiąż mnie z powrotem do drzewa. Oni wrócą tu rano i jak znajdą mnie wolnego, zatłuką na śmierć. Moją matkę wypędzą z domu. Na miłość boską, zwiąż mnie, *señor*, albo już jestem zgubiony!

– Jeśli zostawię cię tutaj, rzeczywiście będziesz wolny przed wschodem. Zdechniesz, Julio – rzekł Montana.

– Nieprawda. Niedługo będzie świtać. Ogarniam pory dnia i nocy.

– Nie, Julio. Noc dopiero się zaczęła.

– Miłosierny Jezu! – wykrzyknął wieśniak.

– Połóż się twarzą do ziemi – poradził mu Montana.

Julio usłuchał. Montana zaczął ostrożnie zdejmować koszulę z jego pleców. Krew gdzieś tam przyschła i trzeba było szarpnięciami oddzielać ubranie od mięsa, ale Julio mężnie znosił ból. Jego ciało zatrząśło się lekko, lecz nie syknął z bólu. Ledwie zaczął wydawać z siebie chrapliwy dźwięk, odsłaniając spuchnięty język.

Montana podsunął do ust Julia manierkę z *brandy*² i wodą, przytrzymując mu przy tym głowę tak, aby napił się swobodnie.

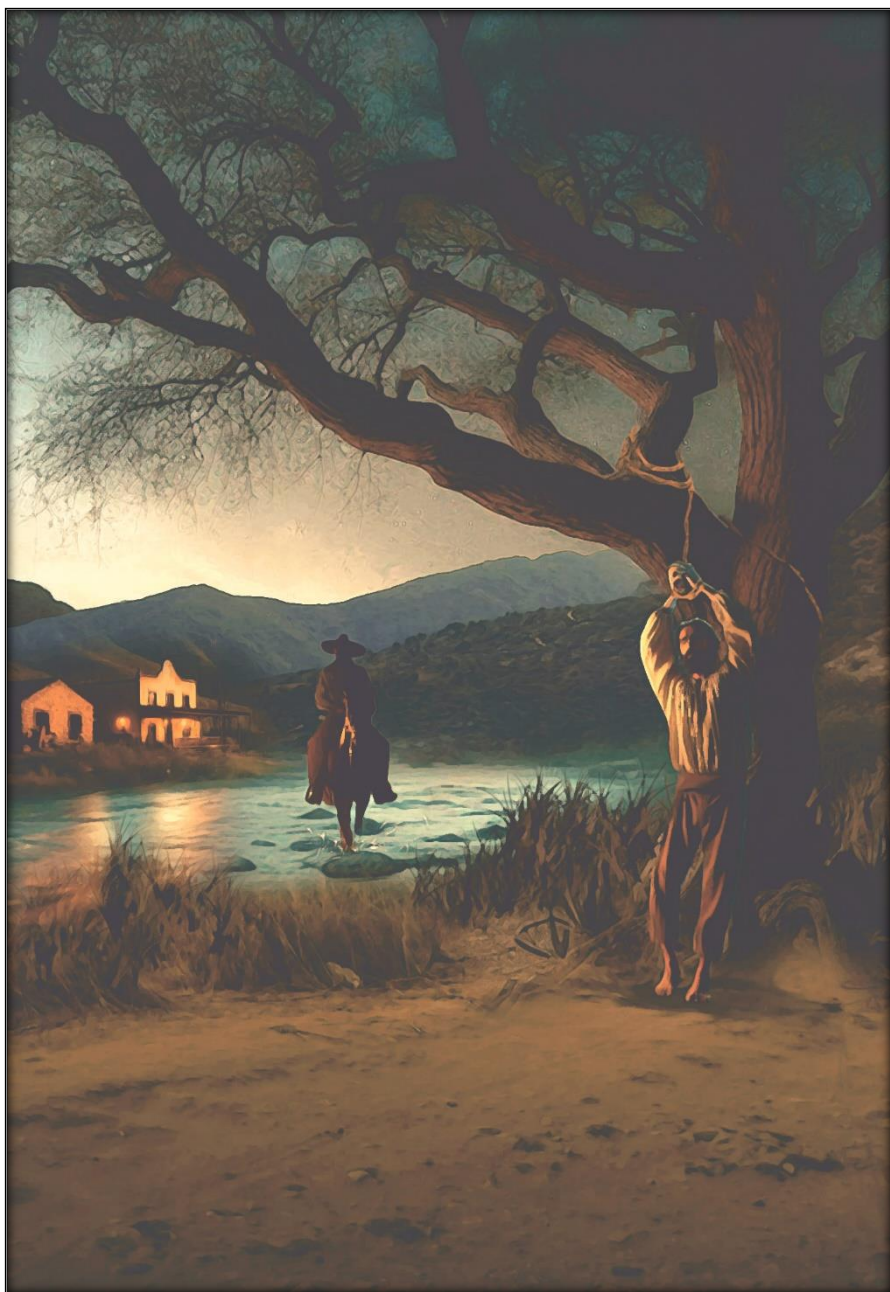
Julio szepnął:

– Po tym wszystkim... Ach, po tym wszystkim śmierć byłaby wybawieniem. *Valgame Dios! Valgame Dios*³! Kim jesteś, ojciec?

¹ *Señor* – zwrot grzecznościowy, używany wobec mężczyzn.

² *Brandy* – napój alkoholowy (wytrawna wódka) destylowany z wina, głównie gronowego.

³ *Valgame Dios* (hiszp.) – niech Bóg broni.



Chłop nie został uwolniony. Był przytomny, ale otumaniony i z trudem stał na drżących nogach, opadając na pień drzewa.

[Kup książkę](#)

– Jestem tylko zwykłym *gringo*¹, Julio.

– Jakikolwiek jest kolor twojej skóry, Bóg dał ci dobre meksykańskie serce.

– Leż spokojnie – powiedział Montana.

Sięgnął po butelkę i zaczął nacierać alkoholem plecy Julia.

– Aj! – pojękiwał Julio Mercado, gdy alkohol wżerał mu się w żywe ciało. – Jezu! O, Jezu! To jest płynny ogień!

– Teraz – rzekł Montana – będziesz czysty. Zaradziliśmy infekcji. Rozumiesz, Julio? Nie będzie ropiało, nie zrobią się wrzody, do których dostaną się muchy i robaki.

Zaczął delikatnie nacierać maścią plecy wieśniaka.

– Chyba śnię! – mruczał Julio. – Ból minął. Na pewno śnię. Chciałbym, żeby tak było zawsze. W niebie sen jest nagrodą dla takich jak ja. Czego można chcieć więcej? Nie trzeba wstać obolałym o świcie. *Valgame Dios!* Jakżeż ziąb spalił mi stopy do kości! Tak nie pali nawet słońce w lecie. Ale sen. Nic tylko kojący sen w niebie. *Señor*, jesteś moim ojcem i dziadkiem. Niech Bóg wypełni twoje ręce złotem. Nic tylko jesteś *gringo*, który zstąpił z nieba.

– Wstań – polecił mu Montana. – Możesz stać, Julio?

Wziął Meksykanina pod pachy. Mercado podniósł się z wysiłkiem i stanął przed nim. Mięśnie pod jego ramionami, sztywniejące wielkimi partiami, sterczały twarde jak drewno na tle palców Montany. Meksykanin stał przed nim.

– A teraz – zaczął Montana – chłód i wilgoć nocy nie będą doskwierać twym ranom.

Zaczął bandażować ciało Mercado grubym miękkim bandażem, bogatym w puchate kłaczki.

¹ *Gringo* – pierwotnie w krajach Ameryki Łacińskiej i Hiszpanii tym mianem określano cudzoziemca oraz osoby niemówiące po hiszpańsku; z czasem określenie nabrało pogardliwego wydźwięku, jako określenie osób pochodzących ze Stanów Zjednoczonych i Anglii, by w końcu stać się przymiotnikiem, wykorzystywanym do określania osoby o urodzie charakterystycznej dla krajów północy.

– Ach! Mam łaskotki! – śmiał się Julio. – Już nie cierpię. Mógłbym tańczyć.

– Łyknij sobie resztki popitki – zaproponował mu Montana.

Wieśniak wypił i błogosławiąc w duchu Montanę, oddał mu pustą manierkę.

– Co teraz zrobisz? – zapytał Montana.

– Zabiorę starą matkę i wyniesiemy się w góry tak szybko jak *burro*¹ nas zawiezie.

– A przedtem?

– Podziękuję ci, *señor*. Padnę na kolana...

Montana roześmiał się, podnosząc go z ziemi.

– Nie potrzeba, Julio. Nie jesteś psem i nie musisz mi się łaścić koło nóg. Posłuchaj, śpiewałeś „Pieśń bicza” i dlatego przyszedłem do ciebie. Jeśli naprawdę jesteś mężczyzną, musisz załatwić jeszcze jedną sprawę, zanim opuścisz ziemię Lerrazy.

– Masz na myśli zabicie *don* Emiliana? *Señor*, on wie, że chłopci go nienawidzą. Jest strzeżony w dzień i w nocy. Jego ludzie są gorsi od policjantów. Są jak diabły z piekła rodem.

– Przypuścimy, że ci pomożę?

– *Señor*, jesteś odważny, ale we dwójkę nie damy rady, choćbyś był nawet El Keedem.

– Jestem El Keedem!

– *Valgame Dios!* – krzyknął Julio. – Serio, to ty nim jesteś?

– Tak.

– Wobec tego chodźmy razem. Wiem, że meksykańskie kule się ciebie nie imają, a Meksykanie nie zdołają cię pochwycić. Chodźmy. Ty prowadź. Jeśli pomożesz mi go złapać, powieszę go na tym samym drzewie, wpakuję mu knebel między zęby i będę bił tak, jak on bił mnie!

¹ *Burro* (hiszp.) – osioł.

W najbardziej wysuniętej na północ hacjendzie wielkiego Lerrazy mieszkała jego zamożna rodzina. Na terenie nizinnym rozciągały się skrzydła budowli. Ściany miały cztery stopy grubości i dawały ciepło w zimie, zaś w lecie – miły chłód. Za głównym budynkiem znajdowały się przybudówki, a za nimi zagrody dla bydła, a jeszcze dalej była mała wioska białych chattek, w których żyli chłopci. Ci, którzy pracowali w gospodarstwie, mieszkali bliżej hacjendy.

Majordomus Emiliano Lopez spał we wschodnim skrzydle w wielkim pokoju, w którym kiedyś przed nim sypiali konkwistadorzy¹. Miał ogromne łóże z baldachimem, podłoga wyłożona była kafelkami, a w palenisku mieściły się długie na osiem stóp kłody. Krzesła i leżanka były pokryte wyliniałym bordowym aksamitem. Na suficie widniały dwa lub trzy popękane gipsowe aniołki, których nie oszczędził czas. Emiliano Lopez słodko chrapał pod baldachimem i uśmiechał się przez sen.

Był przystojnym mężczyzną, młodym, w kwiecie wieku i z widokami na Doroteę Lerrazę i jej miliony. Z tego powodu uśmiechał się przez sen. Ale była jeszcze druga przyczyna, dla której senne widziadła *don* Emiliana były tak przyjemne, albowiem zakosztował rozkoszy, chłoszcząc chłopca.

Emiliano Lopez wierzył, że chłopów należy trzymać silną ręką. Pod jego nadzorem ucieczki zdarzały się bardzo rzadko. Raz ścigał dwóch zbiegów przez trzy tygodnie i złapał ich, a następnie zachłostał na śmierć przed hacjendą. Wszystko na oczach zebranych chłopów i ku przestrodze. Po tym nie było już więcej dezercji. Chłopi przestrzegali jego woli jak woli samego Boga. Dzięki jego zarządzaniu przychody rosły z roku na rok, tak jak rosło serce wielkiego Tomása Lerrazy, który z uradowanym ser-

¹ *Konkwistador* – tytuł nadawany przez królów hiszpańskich i portugalskich zdobywcom Ameryki Południowej i Środkowej w XVI w.

cem i uśmiechem przyjął prośbę Lopeza o rękę Dorotei. Krótko mówiąc, *don Emiliano* był zdolnym administratorem.

Dla bezpieczeństwa – własnego i majątku Lerraza rzecz jasna – dobrał sobie odpowiednich ludzi, którymi nawet *Rurales* by nie pogardzili. Byli to sami kryminaliści, zdolni do wszystkiego, zwłaszcza do mokrej roboty. Ofiarowano im wolność za zabicie tylu, ilu rozkazał sam *don Emiliano*. Mógł na nich liczyć. Byli mu bardzo oddani. Każdy z nich miał na swoim koncie co najmniej dwa zabójstwa. Niewiele im było też potrzeba do szczęścia. Każdy z tych zabijaków posiadał cztery mocne mustangi, niezliczoną liczbę rewolwerów, karabinów i zapas amunicji. Cieszyli się też z krzykliwych ciuchów, picia *pulque* na umór i możliwości opróżnienia kilku flaszek *brandy* w każdy świąteczny dzień. Pieczoną na rożnach koźlinę jadali dwa razy w tygodniu. Żyli jak panowie na włościach. Niemniej dyscyplina była surowa, a nielicznych krnąbrnych rewolwerem przywoływał do porządku sam *don Emiliano*.

Czterech z tej zgrai spało w pokoju po prawej stronie sypialni swego pana. Druga czwórka nocowała po lewej. Pod otwartym oknem, umieszczonym dość wysoko nad ziemią, spacerował tam i z powrotem dziewiąty człowiek Lopeza, który pełnił nocną wartę. Strażników zmieniano dwa razy w ciągu nocy. W ten sposób *don Emiliano* zachowywał swą nietykalność i śmiał się na odzew nienawiści wieśniaków.

Tej nocy strażnikiem czuwającym pod oknem był Juan Torres, osobnik młody, silny, szybki, natury kobieciarza, a przy tym dziki i waleczny jak jaguar¹. Gdy tylko zobaczył cień wynurzający się z ciemności, zmierzający ku niemu, przyłożył do ramienia strzelbę o spiłowanej lufie i polecił przybyszowi, by stanął w miejscu.

¹ *Jaguar* – zwierzę drapieżne z rodziny kotowatych o ubarwieniu rudo-żółtym w czarne cętki, żyjące w lasach obu Ameryk.

Nieznajomy szedł jednak prosto w jego kierunku i wołał:

– Prędko! Prędko! *Don Emiliano* chce cię zaraz widzieć.

– Po co? – zapytał strażnik.

– Idzie o dziewczynę, ty głupku! – padła odpowiedź.

Juan Torres drgnął. Zaczął zastanawiać się, o którą dziewczynę chodzi szefowi, bo znał ich wiele. Zastanawiał się, o której myślał sam *don Emiliano*.

Opuścił strzelbę i zapytał:

– Kim jesteś?

– El Keed! – odparł Montana i huknął go kolbą colta prosto w głowę.

Juan Torres, padając, pociągnął za oba spusty. Rozległ się huk, a kule poszły gdzieś w bok, wznecając kurz.

Montana nie spodziewał się huku wystrzału, toteż skrył się w mroku, nasłuchując.

Tymczasem Julio Mercado pędził naprzód. Minał kompana, podskoczył i uczepiwszy się parapetu, wlaźł przez okno do pokoju. Równocześnie zbiry *don Emiliana*, słysząc huk strzałów, wybiegły, by sprawdzić, co się dzieje. Wszyscy byli roslymi, mężnymi chłopami i nigdy nawet nie cofnęli się przed perspektywą strzelaniny.

Lopez, widząc w oknie sylwetkę mężczyzny, podniósł się z łóżka. Za pierwszym intruzem natychmiast pojawił się drugi, który wskoczył do pomieszczenia jak zwinny kot.

– *Don Emiliano!* – krzyknął pierwszy przybysz, dysząc. – To atak! Nacierają bandyci!

– Niech to diabli! – zawołał *don Emiliano* i podbiegł do okna.

Na razie nie rozpoznał stojących obok niego nocnych gości. Przeszedł obok nich, aby zobaczyć, co się dzieje na zewnątrz. Gdzieś w myślach zrodziło się ponure przekleństwo. Zdał sobie sprawę, że to, czego oczekiwał, przydarzyło się mu w środku

nocy. Incydent uznał za wysoce nieprzyzwoity i niemeksykański. Każdy pocziwy Meksykanin, bandyta czy inny, walczy w dzień, a w nocy, jak prawdziwy dżentelmen, zajmuje się spaniem. On sam był człowiekiem o ustalonych zwyczajach. Te właśnie zagmatwane myśli kłębiły się w głowie Emiliano Lopeza pędzącego do okna. Mijając wyższego z dwóch mężczyzn, dostał czymś w głowę. Dwaj goście powalili go na podłogę, wiążąc mu ręce i kneblując usta.

Próbował się bronić, ale bezskutecznie. Knebel zaczął go dusić, gwałtownie utrudniając oddychanie. W dodatku poczuł ból, bo jeden z napastników szturchnął go w brzuch, mówiąc przy tym:

– Nie chcemy cię zabić, Lopez. Chodź z nami i zachowuj się jak posłuszny sługa.

Lopez poszedł spokojnie. Ton głosu wysokiego mężczyzny zniechęcił go do oporu.

Wprowadzono go do pokoju po prawej stronie. Zza okna, z ogrodu, słyszał bełkotliwe okrzyki swoich ludzi. Jego zaufani strażnicy nawoływali:

– Co się stało? Juan Torres! Gdzie jesteś? Obudź się! *Por Dios*¹! On jest martwy!

– Mam nadzieję, że żyje – mruknął wysoki mężczyzna idący obok *don* Emiliana. – Nie uderzyłem go zbyt mocno... Julio, przydałaby ci się broń. Nie za wiele, lecz parę pasów amunicji, strzelba lub dwie, no i parę rewolwerów. To jest to!

Julio w oka mgnieniu złapał kilka sztuk najnowocześniejszej broni, w którą *don* Emiliano zawsze zaopatrywał swoją prywatną policję. Przerzucił przez lewe ramię cztery pasy amunicji do strzelby i rewolweru. Potem popędził do tylnego korytarza prowadzącego do drzwi na tyłach domu. Ślady – stukot bosych stóp, dudnienie obcasów biegnącego chłopca były wszędzie słyszalne

¹ *Por Dios* (hiszp.) – na Boga.

w hacjendzie, lecz ku zdziwieniu *don* Emiliana nikt ich dotąd nie słyszał. Nikt się do niego nie zbliżał.

Ukryli się pod schodami. Gdy znaleźli się na dworze, wokół nich panowała cisza. Jedyne po drugiej stronie domu usłyszeli przytłumione głosy.

– Będziemy potrzebowali koni, Julio – rzekł wysoki mężczyzna. – Gdzie są stajnie? Gdzie Lopez trzyma swoje wierzchowce?

Serce *don* Emiliana wypełnił strach, a także gniew. Gniew był tym większy niż strach, bo ci dwaj intruzi dopuścili się świętokradztwa, kładąc ręce na jego arystokratycznym ciele. Lecz dla Lopeza było to tym większe świętokradztwo, gdy zobaczył tych samych dwóch rabusiów włamujących się do tego skrzydła stajni, w którym trzymano jego najznamienitsze rumaki szlachetnej krwi. Prawdę mówiąc, konie nie były jego własnością, gdyż należały do wielkiego Tomása Lerrazy!



Rozdział III

 apal lampę – polecił wysoki mężczyzna.

Julio zdjął jedną z haka. Lecz zanim ją zaświecił, zaprotestował:

– Jeśli on zobaczy nasze twarze, *señor*...

– Nie chcesz, żeby wiedział, kto mu się teraz odpłaca? Daj spokój, Julio. Jeśli o mnie chodzi, może gapić się do woli na moją maskę.

– Ale ktoś ze służby może ujrzyć światło...

– Musimy zaryzykować. Nic w życiu nie jest warte, jeśli nie ryzykujesz, Julio. Zapal lampę.

Pojaśniało. Płomień powoli obejmował cały knot. Szkiełko zostało wciśnięte z piskiem do zardzewiałej obsadki. Płomyk rósł. Zadrżał raz i drugi, potem palił się już równomiernie. W końcu *don Emiliano* ujrzał twarz *Julia Mercada*. Lopezewi serce podeszło do gardła. Przez chwilę wydawało mu się, że znów czuł w dłoni bicz. Był pewny, że czeka go śmierć. Było niewiele czasu, aby ci dwaj przekłęci bandyci go torturowali, lecz wiedział, że umrze w straszliwych męczarniach.

Mimo to strach w dalszym ciągu wypierała wściekłość, pogarda, nienawiść i wstyd, gdy widział, jak napastnicy dobierają się do wielkich boksów, w których znajdowały się królewskie rumaki *don Tomása*, które pod długą nieobecność prawowitego właściciela *don Emiliano* uważał za swoje.

– Powiedz mi: który jest najlepszy? – spytał wysoki, zamaskowany mężczyzna, obserwując boksy.

– Możesz wziąć tę klacz, *señor* – odparł zdrajca Julio. – Przyjrzij się jej, jaka jest piękna, zgrabna jak sarna, a jakie ma cudne

oczy. Jest szybsza od wiatru. Bierz klacz, *señor*, ja zadowolę się mustangiem z zagrody.

– Myślę, że ta gniada klacz przyda się tobie – rzekł wysoki mężczyzna. – Ona do mnie nie pasuje.

Serce *don* Emiliana zabiło mocniej, gdy usłyszał pierwsze słowa zdrajcy. Miał szczęście, że mógł cierpieć w tej chwili osobistego zagrożenia, na myśl o tym, że widział konie czystej krwi w rękach bandytów. Serce znów zabiło mu mocniej na słowa wysokiego mężczyzny. Ale ani Julio, ani jego kompan nie byli w stanie odgadnąć jego największej tajemnicy.

– Tutaj mamy coś lepszego – rzekł wysoki mężczyzna, zaglądając do następnej przegrody.

Stał tam duży wałach – wielki szary wałach zdolny do udźwignięcia dwustu funtów podczas całodzienniej wędrowki po górach. Był to bardzo cenny koń i *don* Emiliano aż zadrżał na myśl, że bandyci mogą go zabrać.

– Tak – stwierdził mężczyzna w masce. – Ten koń mógłby się nadać.

– Więc bierz go, *señor*, w imię Boże! – wykrztusił Julio Mercado. – Czy słyszysz, *señor*? Nadchodzą!

Od strony hacjendy zaczęły dobiegać podniecone głosy.

– Chwileczkę – rzekł mężczyzna, odwracając się bokiem.

Lopez zauważył, że ma on niebieskie, mocno błyszczące oczy. Dostrzegł też, że jest silnie zbudowany, rozrośnięty w ramionach, a wąski w biodrach. Dojrzał też jego czerwoną, bogato haftowaną szarfę.

Zapewne musiał należeć do bandyckiej arystokracji Meksyku.

– Nie musimy się śpieszyć, będąc u bram życzeń – powiedział. – Niech no się rozejrzę.

Wziął lampę i po kolei zaczął sprawdzać przegrody, komentując co chwilę:

– Podoba mi się ten rzymski nos. Diabły zazwyczaj mają ich bez liku. Spójrzmy jeszcze raz na tego... Ten łódkowaty łeb się nie nadaje... Tu nie ma kłębu... Tu mają uszkodzone kolana... A ten nie przyda się w górach... Chwila! Oho! Niech no się przyjrzę! Znasz tego ogiera, Julio?

Serce *don Emiliana* podskoczyło i zawyło z rozpaczy. To był koń nad konie!

– Widziałem go, *señor* – odrzekł Julio. – Ogiera sprowadzono niedawno. Spójrz, *señor*, jak mu odstają żebra. Jest niewiele wart. Ma za duże kopyta, pierś zbyt szeroką, a wargi są jak wysunięte łokcie.

– Prawda – zgodził się wysoki mężczyzna, kiwając głową. – Nie jest doskonały, a przy tym ma sylwetkę jak szpada. Ale ma mięśnie ze stali i diabelskie błyski w oczach, co mi się podoba. Dzikus z niego, co nie?

– *Señor*, on niemal wykończył dwóch stajennych.

– Ten ogier nie jest dla stajennych. Ja się nim zajmę – oświadczył wyniośle wysoki mężczyzna.

– Prędejsz, *señor*! Niech mi Bóg wybaczy, że zgodziłem się, abyś zabrał tak złego konia! Pospieszymy się, już nadchodzą.

– Jeszcze trochę cierpliwości. Gdy dosiędziemy dwóch takich wspaniałych koni, z łatwością wygrana będzie nasza... Bierz siodło, drugie będzie dla mnie... Chyba nie chcesz mnie oszukać, co, Julio? Jak się wabi ten diabeł, do którego tak mnie zniechęcałeś?

– El Capitán¹, *señor* – westchnął chłop, naciągając popręgę.

– El Capitán – powtórzył wysoki mężczyzna, przykładając kolano do boku kasztana i czekając na reakcję. – Słyszałem jakiś czas temu o koniu, który tak się nazywał...

Bandyta dostrzegł swoją szansę i szarpnął gwałtownie cugle. Nie spodziewając się takiego obrotu spraw, El Capitán tupnął

¹ *El Capitán* (hiszp.) – kapitan, dowódca; tu: nazwa konia.

gniewnie i obrócił swą szpetną węzową głowę. Wysoki mężczyzna dał mu klapsa w chrapy.

– Wkrótce mnie poznasz, *amigo* – rzekł i roześmiał się. – Teraz poniesiesz naszego przyjaciela tam, gdzie rośnie to drzewo-pręgierz.

Don Emiliano, nagle przywrócony do własnych trosk, został wyprowadzony w ciemną noc. Wysoki mężczyzna, mrużąc oczy, zerknął w dół wzgórza. Cała wioska migotała światłkami. Na brzegu, wzdłuż Rio Grande, w rytm niesłyszalnej pieśni ludzie biegali tu i tam z lampami.

– Ta droga jest dla nas zamknięta – stwierdził wysoki mężczyzna. – Będę musiał pozostać w Meksyku dzień lub dwa... Ale najważniejsze jest to, że nie możemy przywiązać *don Emiliana* do drzewa. Do diabła z takim szczęściem! Jednak obok nas jest drzewo, które powinno wystarczyć. Julio, przywiąż go!

Don Emiliano szybko został mocno przywiązany za nadgarstki do pnia. W oczach majordomusa rozbłysła wściekłość i pogarda. Oto w pobliżu, nad rzeką, był tłum, tłum głupców, jego zaufanych strażników, którym hojnie płacił, których wybierał skrupulatnie spośród setek nikczemnych zabijaków. Teraz latali bez celu. Najwidoczniej psy złapały fałszywy ślad. Och, gdyby tak garstka tu trafiła! Ale oni szukali gdzie indziej! Bezuszyteczni jak gwiazdy za dnia!

Usłyszał głos wysokiego mężczyzny:

– Jego nocna koszula nie jest grubsza niż twoja wieczorem, Julio. Tu masz bicz, a tu są jego plecy. Zajmij się nim.

Zdrajca Julio odpowiedział:

– Och, Boże, gdyby mój ojciec i dziadek mogli to zobaczyć! Wieczny odpoczynek racz im dać, Panie! Gdyby tak mogli mnie zobaczyć! Z myślą o nich biorę do ręki bicz! Teraz, teraz, teraz!

Bicz smagał ciało. *Don Emiliano* odnotował przeszywające uderzenia bólu, lecz ledwie je czuł. Stał wyprostowany. Ogień

trawił mu myśli. Bicz – bicz dotykał jego ciała i smagał go jak psa! Czuł uderzenia nie tylko na ciele, lecz także w duszy.

– Dobrze – rzekł wysoki mężczyzna. – Bardzo dobrze, Julio. Poczekaj, wyjmę mu knebel i usłyszysz skowyt.

Poluźnił szmatę z ust *don Emiliana*.

– Jak zacznie krzyczeć, przyjdą tu po nas! – Zaniepokoił się Mercado.

– Nigdy nas nie złapią. Uciekniemy, mamy dobre konie. Cóż warta jest uczta bez muzyki? Zaraz sobie jej posłucham.

Bicz znów zaczął chłostać plecy więźnia, rosząc je obficie krwią. Lopez czuł, jak krople krwi spływają mu stróżkami. Jego ciało przeżywało straszne męczarnie, lecz wstyd jaki wypełniał jego duszę, był tak duży, że zepchnął pozostałe emocje w nicość.

– Czekaj! – rozkazał wysoki mężczyzna.

Na moment przerwano chłostę.

Zamaskowany mężczyzna stanął naprzeciw *don Emiliana* i spojrzał uważnie w jego oczy.

– Ciężko oddycha, ale serce ma mocne, Julio.

– Pozwól mi go zabić! – dyszał Julio. – Widzę krew... Zadanie mu takich ran, to jak zabicie go... Pozwól mi go skończyć!

– Chwilę! *Don Emiliano*, słyszysz mnie?

Lopez milczał.

– Chodzi o twoje życie – ciągnął mężczyzna. – Słyszysz?

– Tak – odparł Lopez zduszonym głosem. – Słyszę.

– Jesteś zbyt mądry, aby umierać pod batem. Powinieneś umierać przynajmniej z rewolwerem w ręku. Może mógłbym dać ci szansę? Nie, nie teraz. Masz niepewną rękę. Posłuchaj. Ty i on jesteście kwita, chłosta za chłostę. To cię nauczy, że nawet chłop jest odważnym mężem. Słuchaj. Julio Mercado porzuca służbę u ciebie i przechodzi do mnie. Ale zostawia tu swoją matkę, pocziwą starą kobietę. Jeśli wyjdiesz stąd żywy, będziesz

chciał się na niej zemścić. A więc, Lopez, czy mam two święte słowo, że zostawisz ją w spokoju? Przysięgasz?

Don Emiliano ledwo mógł odpowiedzieć. Nie z bólu, lecz z powodu knebla.

– Przysięgam – wyrzucił w końcu.

– Na świętego Emiliana, twojego patrona? I na krew Boga? Przysięgasz?

– Przysięgam.

– Powiedz dokładnie całą przysięgę.

– Przysięgam na świętego Emiliana i krew Boga...

– Dalej!

– ...że nie wyrządę krzywdy matce Mercada.

– To wystarczy, ale dodam, że jeśli złamiesz przysięgę, znajdę cię choćby w piekle czy na dnie morza i podetnę ci gardło do samej kości. Zrozumiałeś?

Don Emiliano nic nie odpowiedział.

– Zrozumiałeś, ty parszywy szczurze?! – syknął przez zęby wysoki mężczyzna.

– Zrozumiałem – warknął *don Emiliano*. – Przyjdzie jednak czas, że znów się spotkamy i cię zobaczę. Ale wtedy nie będę miał związanych rąk.

– No! Gadasz jak prawdziwy mężczyzna! Idziemy, Julio. Czeka nas daleka droga... Zapewne jego ludzie ucieszą się, odcinając swego pana przywiązanego do drzewa. Zanim jednak to się stanie, włożymy mu z powrotem knebel między zęby. Będzie miał czas do rana, aby nas zapamiętać. *Adios, don Emiliano!*



Rozdział IV

Wiadomości z Meksyku dotyczą przeważnie ropy naftowej, kopalń srebra albo rewolucji, ale tym razem na czołówkach gazet południowego zachodu ukazała się informacja o wydarzeniach mających miejsce w hacjendzie Lerrazy, wzbudzając drobny pożar wśród reporterów. Te wiadomości przyciągnęły także Richarda Lavery’ego Juniora, który pochylił głowę nad dziennikiem i marszcząc brwi, czytał:

Chłop został wychłostany... W nocy uwolnił go nieznany osobnik, prawdopodobnie Amerykanin, który włada perfekcyjnie językiem hiszpańskim... Majordomusa hacjendy porwano z łóżka... Jeden z jego strażników padł ogłuszony w zagrożeniu utraty życia i nie wie, co się stało... Uprawadzono dwa najlepsze konie Lerrazy... Emiliana Lopeza przywiązano do drzewa i osmagano batem jak chłopca... Sam robotnik uciekł... Strażnicy nad rzeką próbowali pochwycić Amerykanina i zbiegłego chłopca, ale oni rozplynęli się w powietrzu i zapewne uciekli na amerykańską ziemię...

Młody Richard Lavery oderwał głowę od gazety, a w jego niebieskich irlandzkich oczach zabłysnął płomień. Zawołał:

– Montana! Montana! Nikt inny by tego nie zrobił! Teraz pojedzie do Rubriza!

Podszedł do okna i spojrzał na rozległy tarasowaty obszar ojcowskiego rancza, upstrzony tysiącami kropek pasącego się bydła. To nie było ranczo, ale królestwo! A Richard Lavery był jego właścicielem. Dick Lavery przypomniał sobie obozowisko pod otwartym niebem, drgające płomienie ogniska, nieogolonych ludzi dookoła, dźwięk gitary i głos wyśpiewujący starą balladę.

Wyszedł z domu jak urzeczony i skierował swe kroki prosto ku stajniom, potem na pastwisko, gdzie pasły się jego konie – ogniste wyścigowce. Wtem zawrócił do stajni i zdecydowanym ruchem ściągnął ze ściany siodło i lasso.

Benito Jalisca, osobnik przysadzisty, krzywonogi, z bliznami na twarzy, podobny do buldoga, usłyszał całą historię w południe od *Rurales*. Wśród kryminalistów, którzy przeszli do osławionej meksykańskiej policji, Benito Jalisca był jednym z pierwszych. Jedząc fasolę i tortillę¹, przysłuchiwał się relacji porucznika. Szybko przełknął łyk kwaśnego czerwonego wina, wstał, osiodłał konia, wziął do rąk karabin i przypiął do siodła.

– Co się dzieje, Benito? Dokąd zamierzasz jechać? – zapytał porucznik.

Benito Jalisca ledwie wskazał na porucznika, który opowiedział mu ostatnie wydarzenia.

– El Keed! – rzekł lakonicznie i skoczywszy na konia, ruszył przed siebie.

Porucznik miał gwałtowne usposobienie. Wydał rozkaz i nawet sięgnął po rewolwer, gdy zauważył oddalającego się Jaliscę, ale jeden z policjantów chwycił go za rękę.

– Nie strzelaj! – zawołał. – On i tak będzie go ścigał. Po spotkaniu z nim ma dwie blizny! Benito wolałby zmierzyć się z El Keedem, niż spotkać anioła, nawet za cenę życia.

Porucznik pogłaskał wąsy i chrząknął. Wreszcie machnął ręką za znikającym w oddali policjantem, zwalniając go w ten sposób ze służby.

Potężna laska opierała się o ścianę szalasu. Jej właściciel, brat Pascual, wkładał złamaną nogę pasterza między drewniane łupki, kiedy wszedł syn poszkodowanego i opowiedział historię. Brat

¹ Tortilla – okrągły cienki placek kukurydziany, popularny w Ameryce Łacińskiej.

Pascual, kiwając parę razy wygoloną, opaloną przez słońce na brąz głową, rozmyślał nad przekazanymi nowinami.

– Co za *gringo* byłby w stanie zrobić coś takiego dla chłopca? – mruknął.

Pomrukiwał tak do końca zabiegu, dopóki nie założył lupek i nie obandażował nogi. Potem wyprostował się i sięgnął po laskę, którą z powodzeniem mógłby podpierać się jakiś olbrzym.

– El Keed! – zagrmiał mnich. – El Keed wrócił! – zagrmiał ponownie i ruszył ogromnymi krokami w stronę gór, unosząc skraj habitu, przewiązanego grubym sznurem w pasie.

Tego dnia biskup spożywał posiłek nie w pałacu, ale w małej restauracji, do której uczęszczali poganiacze mułów¹. Przed chwilą skończył wizyty charytatywne i, jak to miał w zwyczaju, wstąpił do skromnej restauracji, by spożyć czarne *frijoles*² z razowym chlebem. Poganiacze byli onieśmieleni tylko przez chwilę. Wiedzieli, że wśród nich znalazł się prawdziwy ojciec, który zawsze pomoże w potrzebie biednym i cierpiącym. Chwilę potem dali mu spokój. Jego ascetyczna twarz i łagodne oczy bardziej przypominały obraz na ścianie niż zwykłe ludzkie ciało. W takiej to atmosferze biskup usłyszał najnowszą nowinę. Na obliczu świątobliwego starca pojawił się nikły cień strachu i troski. Uniósł lekko oczy, które zabłysły mu bardziej ziemskim światłem, uśmiechnął się dyskretnie i wyszeptał: „El Keed!”.

Rosita, tancerka o powalającej urodzie, właśnie przestała tańczyć. Usiadła zmęczona, w nieprzyzwoitej pozie. Lekko ciężkawy oddech zdradzał jej niedawny wysiłek. Uśmiechała się, mając różę w ustach. Młodzi *caballeros*³ obserwujący z daleka tan-

¹ *Mul* – zwierzę, pochodzące ze skrzyżowania klaczy konia z ogierem osła.

² *Frijoles* (frijoles refritos) – meksykańska smażona pasta fasolowa.

³ *Caballero* (hisp.) – młodzieniec, rycerz.

cerkę, z werwą podeszli do niej bliżej, lecz niebezpieczne błyski w oczach dziewczyny powstrzymały ich w pół kroku.

Przed chwilą od jednego z takich typków usłyszała pełną wzruszeń opowieść o tym, jak w hacjendzie wielkiego Lerrazy szalał pewien *gringo*, namawiając chłopą, by wychłostał szlachcica, Emiliana Lopeza. Któż mógł tak zaszaleć?

Rosita wskoczyła na parapet i odbijając się z lekka, wyskoczyła na ulicę. Zaczęła biec. Przechodzący w pobliżu żandarm myślał, że jest pijana, bo odrzuciła do tyłu głowę i zataczała się jak pijak. Kiedy zbliżyła się do niego, zauważył, że to śmiech był przyczyną takiego zachowania. Gdy go minęła, wydawało mu się, że słyszy skandowane przez nią słowa: „El Keed! El Keed!”.

Mateo Rubriz siedział za dużym dębowym stołem. Czerwoną mykę miał zsuniętą na tył głowy, a rękawy podwinięte do łokci. Przed nim leżał udziec barani, z którego odcinał nożem, ostrym jak brzytwa, kawałki mięsa. Smaczniejsze kęsy wkładał sobie do ust i zapijał je winem z pięknego kosztownego kielicha, ale większość mięsa wyrzucał przez ramię psom, które zręcznie chwyciły zdobycz w powietrzu. Równocześnie słuchał opowiadania młodzieńca, którego głowa była obwiązana pokrwawioną szmatą i który seplenił, bowiem przestrzelony policzek utrudniał mu mówienie. Gdy mówił, pojawiały mu się na ustach małe bańki krwi. Od całej tej opowieści odechciało mu się jeść. Młodzieniec i tak miał szczęście, że uszedł z życiem, gdyż jego dwaj kompani nie żyli. Ktoś musiał ostrzec, że nastąpi napad bandytów! A nie było już szans na dobrą walkę. Rubriz przerwał opowieść:

– Tak! Tak! Gdyby tylko was trzech przeszło w ciszy, ale nie. Wiem, co się stało. Nawet przekraść się nie umiesz. Nahałasowałeś i ludzie się pobudzili. Gdybyś jeszcze głośniejsze żarzał jak koń, ludzie mogliby uznać, że masz cztery kopyta i co najwyżej możesz zagrozić meblom. Wynoś się! Kiedyś miałem mężczyzn w bandzie! A teraz mam tylko samych głupców! Dlaczego mam tylko...

Wieczorną ciszę przerwał przerażający wrzask, który dotarł z gór na sam kraniec górskiego szlaku i prawa, wprost do siedziby bandytów. Zgiełk nie ustawał, rozległy się strzały z karabinu. Rubriz zerwał się na nogi i rozejrzał groźnie wokoło. Kucharz, który kręcił się w kącie izby w oparach dymu, odłożył rondel i pochwycił ciężką żelazną chochlę.

– El Keed! – wykrzyknął.

W tym momencie do izby wszedł Kid. Otaczali go ludzie Rubriza. Z tyłu kroczył Julio Mercado ze skrzepowanymi rękoma.

Mateo Rubriz wydał okrzyk i skoczył do przodu. Był mniej niż średniego wzrostu. Nogi miał zgięte. Trochę przypominał buldoga. Objął Montanę wpół, dźwignął go i posadził na stole. Podał mu ten sam drogocenny kielich, z którego pił kilka chwil temu, wypełniony po brzegi winem. Sam zaś sięgnął po wielką skórzaną butlę wina, z której wcześniej napełniał sobie bogato zdobiony kielich.

– Napijemy się, *amigo*! – wołał Rubriz, podnosząc butlę do ust.

– Napijemy się! – darli się wszyscy, napełniając pospiesznie winem cynowe kubki lub szklaneczki. – Twoje zdrowie, El Keed! Wypijemy...

– Słuchajcie! – zawołał Montana. – Jest ze mną mój przyjaciel. Czy on się nie napije? To Julio Mercado. To jego wychłostano szlacheckim biczem w podzięcie za harówkę od rana do wieczora. Przyprowadziłem go do was. Czy go przyjmiecie?

Rubriz odstawił butlę. Wino spływało mu po podbródku. Otarł dłonią usta.

– Niech do mnie podejdzie – rzekł.

Julio Mercado, popchnięty, pojawił się przed hersztem. Rubriz przytrzymał go swą potężną dłonią.

Patrząc mu prosto w oczy, zapytał:

– Co cię czeka, jeśli znów zaczniesz żyć w zgodzie z prawem?

– Zachłostają mnie na śmierć – odparł Mercado.

Był wystraszony, ale z oczu wyczytała mu prawda. Kompani Rubriza pokiwali głowami.

– Masz przyjaciół w policji? – pytał Rubriz.

Mercado odwrócił głowę, popatrzył na Montanę, i odparł:

– Nie, *señor*.

– Powiedz: wiesz, kim jestem?

– Jesteś Mateo Rubriz.

– Co o mnie wiesz?

– Jesteś wielkim diablem, *señor*.

Rozległa się salwa śmiechu.

– Serce ma szczere – zawołał głośno Montana.

Mercado wykrzywił swą pozieleniałą twarz i próbował się uśmiechnąć.

– Chcesz być jednym z nas? – wrzasnął Rubriz dzikim głosem.

– *Señor*, mój pan przyprowadził mnie do ciebie – odpowiedział Julio Mercado.

– Głupcze – odparł Rubriz – w bandzie tylko ja jestem panem.

– A więc, nie mogę być jednym z was – upierał się Julio. – Znalazłem swego pana i go nie zmienię.

Zaczął się szum, a biedny Julio Mercado nie wiedział, czy oznacza on aplauz, czy gniew. Uniósł wyżej głowę i ciężko westchnął, kiedy Rubriz znowu wrzasnął:

– Zobaczyłeś nas, poznałeś naszą kryjówkę, a teraz kręcisz, że nie będziesz jednym z nas?

– Nie porzucę mojego pana! – odparł biedny Julio.

W ręku Rubriza błysnął nóż. Machnął nim przed oczami Julia.

– A więc jak będzie? – zagrmiał.

Julio Mercado zamknął oczy, ale zawołał z desperacją:

– Nie! Nigdy go nie zostawię, *señor*. Mój panie, pomóż mi!

Jednak El Keed, ku jego przerażeniu, nie powiedział ani słowa. Wszelkie wysiłki Julia Mercada, by skierować na siebie uwagę

Montany, okazały się bezowocne. Poczuł na sobie potężne ręce, które natychmiast nim zawładnęły.

Nóż ponownie błysnął mu przed oczami. Zaczął przygotowywać się na śmierć. Poczuł ostre cięcie na przedramieniu. Ruch ostrej krawędzi noża. Zaczęła spływać strużka ciepłej krwi.

– Boże, przyjmij mego ducha – jęknął Mercado.

Coś dotknęło jego ramienia – i nie był to nóż.

Otworzył oczy i zobaczył, jak pchają się ku niemu jeden przez drugiego, jak dotykają spływających kropli krwi, jego krwi. Potem, aż strach o tym mówić, podnosili palce do ust i zlizywali tę krew. Jego krew!

Usłyszał, jak Mateo Rubriz mówi:

– Czy jego krew jest naszą krwią?

– Tak! – krzyknęło wiele głosów.

– Czy jest jednym z nas?

– Tak! – odpowiedziano mu.

– Na zawsze?!

– Na zawsze! – odkrzyknięto.

Mocna ręka pochwyciła Julia Mercada, który ujrzał roześmianą twarz Rubriza.

– Głupcze – mówił herszt – myślałeś, że El Keed nie jest z nami? Teraz twoja walka jest naszą walką, twoi przyjaciele są naszymi. Ciesz się z okazanej odwagi! Napijmy się. Hej! Gdzie wino? Dajcie mu pić. Jego kubek nie może być pusty. Wszyscy, w nasze gardła, do dna! El Keed i Mercado są z nami!



Chcesz przeczytać dalszą część?
Zapraszamy do księgarni!